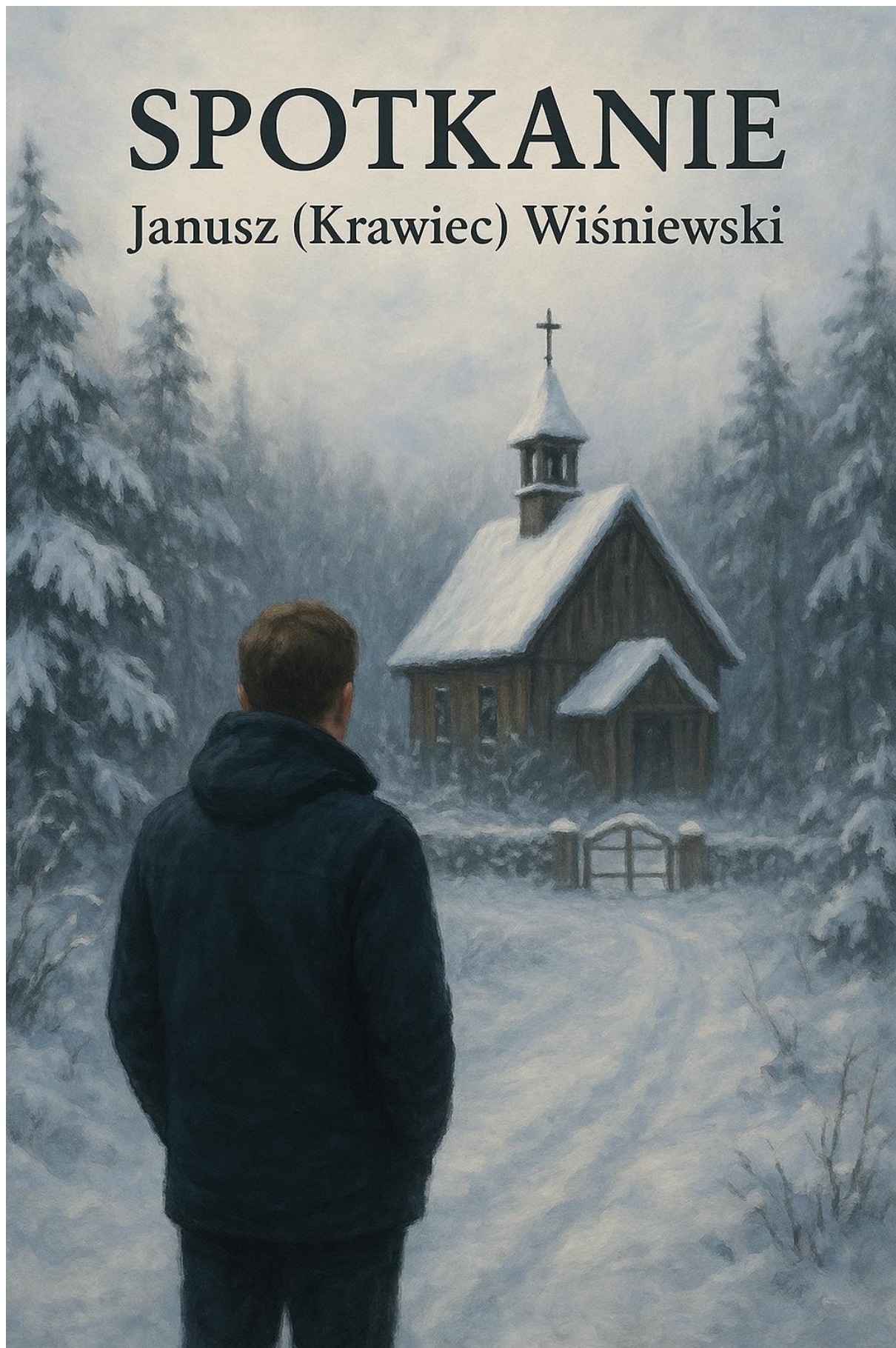


SPOTKANIE

Janusz (Krawiec) Wiśniewski



SPOTKANIE

Zimowa, styczniowa niedziela. Zapowiadane opady śniegu z nadwyżką przykryły bielą rozjeżdżone błoto na jezdniach. Wstałem, kiedy jeszcze noc nie zdążyła przywitać się z dniem. Cicho na palcach wyszedłem z sypialni, żeby nie obudzić mojej żony. Nie namawiałem jej, żeby mi tym razem towarzyszyła w tej niedzielnej eskapadzie. Zawsze wstaje najwcześniej i krząta się w kuchni, by wszystkich nas wyprawić – córki do szkoły, mnie do pracy. Jest niedziela, niech sobie pośpi.

Cichy, niedzielny zimowy poranek. Zza zwalistych chmur od czasu do czasu przenika słońce oświetlając zimowy pejzaż ośnieżonych ulic i domów starej Oliwy. Umówiliśmy się, że przyjadę swoim autem. O dziewiątej jestem już przed domem mojego kolegi architekta. Jego willa, otulona tak jak i inne puchową pierzyną śniegu, zdawała się jeszcze spać. Czekam chwilę w aucie, nim na ganku pojawia się mój znajomy.

– Wejdiesz na chwilę, na kawę? – pyta.

– Nie, dziękuję - odparłem przez uchyloną szybę – lepiej już jedźmy, żebyśmy się nie spóźnili.

Zszedł z ganku, zapinając po drodze ortalionową puchową kurtkę w kolorze zielonej wiosny. Przywitaliśmy się już w samochodzie.

W niedzielny poranek ruch na drodze Gdańsk – Wejherowo jest niewielki. Jadąc, słyszymy jak puszysty, jeszcze silny swoim bytem śnieg, skrzypi, zgrzyta pod kołami auta. Od czasu do czasu wiatr wydmuchuje go spod kół i zacina o szyby, próbując straszyć – pokazuje, kto rządzi dzisiaj na Wybrzeżu. Na szczęście wycieraczki radzą sobie doskonale, spychając natręta poza samochód. Na rondzie w Chwaszczynie wybieramy kierunek na Wejherowo, potem Kamień, Kielno, Szemud... W Szemudzie mijamy kościół otoczony osobowymi autami. Zapewne w środku trwa msza, na której okoliczni mieszkańcy, bogobojnie

modląc się, oddają Bogu co boskie, a księdzu co księżowskie - może prosząc przy okazji z modlitewną gorliwością o niełaskę dla sąsiada.

Opuszczamy gminę, jedziemy zalesioną szosą przykrytą dookoła śniegiem, w końcu zwalnimy. Zaraz po prawej stronie powinniśmy spodziewać się drogi w głąb lasu... Mój towarzysz podróży w skupieniu obserwuje migające przy drodze białe świerki. Ledwo zauważamy wystającą z zasp, umieszczoną na cienkim drążku czarną tablicę z napisem „Siostry od Betlejem...”. Tyle tylko zdążyłem przeczytać, skręcając po wyrobionych przez inne auta koleinach prowadzących w leśną gęstwinę. Wiatr w tym czasie przepędzał grube, zwaliste chmurzyska, zza których znowu słońce jak reflektor w operze, oświeśla scenografię polskiej leśnej zimy.

Polska zima. Biały puch przykrył wszystko dookoła niczym służba prześcieradłami meble, w starym, niezamieszkałym dworze. Na odgradzających pola płotach zwisają śnieżne czapy. Strach na wróble wygląda jakby wygrzebywał się spod pierzyny. Wstawaj bracie! Nie śpij! Zobacz, jak dookoła pięknie, bajkowo... Mijamy jedyne napotkane po drodze gospodarstwo. Cisza. Nawet kogut nie zapieje, pies nie zaszczeka. Pewnie leniwy Burek leży pod ciepłym piecem, czekając na swoją miskę. Za zabudowaniami zjeżdżamy po wyżłobionych koleinach wąwozem w dół. Już z góry zauważamy zarys stromego dachu małego kościółka i jego dzwonnice, którą wieńczy nieduży czarny krzyż. Tylko on nie pozwolił się przykryć i chwali się swą czernią na tle śniegu. Jedziemy na dwójce, by po chwili znaleźć się na małym parkingu przed drewnianą ścianą płotu. Ustawiamy się obok kilku już zaparkowanych aut. Jedna część wrót bramy jest uchylona. Przeciskamy się przez nią na drugą stronę muru. Na drugą stronę... tajemnicy?

Idę za moim przewodnikiem wydeptaną w śniegu ścieżką, obok niskich zabudowań klasztoru. Pod ciepłą, miękką kaszmirową kurtką, która z reguły

dostatecznie mnie ogrzewa, już czuję przechodzące przez całe moje ciało ciarki. Instynktownie wyczuwam napięcie. Kościółek, okryty śniegiem, wygląda jak zaczarowany zamek na ilustracjach baśni braci Grimm. Jacyś ludzie, wchodzący do kościoła przed nami, pozostawili uchylone drzwi. Przeciskamy się przez nie, by wejść do środka. W małym korytarzyku ktoś zostawił mgiełkę zapachu naftaliny. Po prawej stronie znajdują się kręte schody w górę. Mój przewodnik dotyka mojego ramienia, ośmielając mnie tym ruchem, bym szedł bez obaw po schodach ku górze.

Balkon, antresola, to nieduża powierzchnia wypełniona rzędami sosnowych ław. Przeciskamy się pomiędzy ludzką ciżbą ku przodowi, gdzie ciężka drewniana bariera odgradza nas od... Od czego? Mijamy parę rzędów ław, w których zasiadają młodszy i starszy wierni. Wszyscy poubierani podobnie, zgodnie z gminną modą. Spod ortalionowych i maderowych kurtek wyłaniają się dresowe lub dżinsowe spodnie, na nogach niepodzielnie dla mnie w zimową niedzielę królują adidas.

Miejsce w pierwszej ławce robi nam dama w futrze z łapek karakułowych o zapachu molowej śmierci. Przeciskamy się pomiędzy damą, a odgradzającą nas barierką. Pod nami główna nawa kościoła, nad nami grube bele sufitu podtrzymują dach na zewnątrz przykryty zwalistym śniegiem. Biały tynk ścian systematycznie dzielą i zdobią łukowate okienka, przez które niebo skrada się na mszę, rozjaśniając zespolone z wnętrzem kościoła wnętrza wiernych. Powinienem usiąść, nie przeszkadzać innym.

Jeszcze nie siadam. Rozglądam się, spoglądam w dół, ponad sięgającą powyżej pasa barierkę. Dwa kamienne stopnie prowadzą do nakrytego białym obrusem ołtarza. Po jego prawej stronie stoi sosnowy krzyż. Niepozorny, mniejszy niż w innych kościołach. U jego podstawy w przeźroczystym szklanym wazonie kilka goździków spragnionymi łodygami dotyka wody.

Sklepienie nad ołtarzem, w innych kościołach zazwyczaj pyszniące się bogactwem fresków, tutaj, podobne do peleryny żołnierza, otula cieniemrokiem ołtarz. Wychylam się głębiej poza barierkę. Po obu stronach, pod ścianami, stalle pooddzielane jasnymi sosnowymi ściankami przypominającymi konfesjonały, albo startowe boksy na wyścigach konnych. Po lewej i po prawej po osiem. W każdej z nich klęczy zakonnica w szaroburym habicie z kapturem na głowie. Nie widzę ich twarzy. Słyszę tylko głosy. Kościelne, modlitewne szepty i zawodzenia zapowiadają misterium mszy. W niewidocznym wejściu pojawia się stary, przygarbiony ksiądz w skromnym pozbawionym ozdób i haftów ornacie, bezszelestnie podchodząc do ołtarza, rozpoczyna mszę. Siadam i prawie truchleję z wrażenia. Śpiew sióstr, spokojny kojący głos księdza odprawiającego liturgię i nastająca co chwilę cisza. Cisza, jak gęsta mgła zawieszana nad całym wnętrzem kościoła. Cisza, która przerywa misterium mszy, mój oddech, moje bicie serca. Pierwszy raz w życiu tak namacalnie coś odczuwam. Mam wrażenie, że opanowujące mnie doznania - odnajdują moją schowaną za grzechy duszę. Drzę. Co się dzieje? Odnajduję obecność Boga?

– Istniejesz Boże? - A jeżeli to... To tu się skrywasz? W małym kościółku, za lasem? Czy wiesz, jak trudno Cię tu odnaleźć? Tutaj nie odwiedzą cię purpuraci z sygnetami na palcach, nie przybędą żądni popularności politycy, czy bogaci biznesmeni. Ich limuzyny są za szerokie. Nie zmieszczą się w wąskim wąwozie prowadzącym do skromnego zakonnego kościółka. - Tu skryłeś się przed całym światem? Przed nami ludźmi? Zażenowany, że zrobiłeś błąd, pozwalając nam ludziom na wolność myśli i zachowań?

Tak, to my – głupi, zawistni, mściwi, chytry wykorzystujemy perfidnie twój dar. Zdradzamy, mordujemy, zniewalamy... Dla pieniędzy, zaszczytów, władzy zrobimy wszystko! Tacy jesteśmy, bo to Ty dałeś nam możliwość decydowania o nam o sobie.

W tym zakonnym kościółku, w tej zawieszanej ciszy nad liturgią mszy - dotykasz
mnie swoją obecnością?

Jesteś?